

Julian Krzyżanowski

Wymiana listów Henryka Sienkiewicza i Marii Radziejewskiej

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 57/3, 199-228

1966

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

II M A T E R I A Ł Y I N O T A T K I

JULIAN KRZYŻANOWSKI

WYMIANA LISTÓW HENRYKA SIENKIEWICZA I MARII RADZIEJEWSKIEJ

Gdyby Henryk Sienkiewicz był człowiekiem przesadnym i znał poglądy i wierzenia ludowe związane z imionami „wróźbnymi”, tj. przynoszącymi szczęście lub nieszczęście, byłby unikał panien noszących imię Maria. Dziwny bowiem zbieg okoliczności sprawił, iż biografia jego wymienia pięć kobiet, z którymi łączyły go uczucia miłosne, iż wszystkie one były Mariami, a żadna nie stała się jego Beatrycą czy Laurą, bo żadna nie dała mu szczęścia. Może dlatego, że trzy wśród nich były to figury tragikomiczne, dwie zaś wyraźnie tragiczne. Do grupy pierwszej należała młodzięca naręczona, Maria Kellerówna, następnie żony jego, druga i trzecia, Marynuszka Wołodkiewiczówna i, Markiem zwaną, Maria Babska. Postaci zaś tragiczne — to przedwczesnie zmarła pierwsza żona, Maria Szetkiewiczówna, i ostatnia miłość pisarza, Maria Radziejewska.

Postać Radziejewskiej (1876—1911), którą tutaj będzie się nazywać po prostu Marią, wystąpiła w studiach o Sienkiewiczu dopiero w r. 1936, gdy dodatek literacki do krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” przyniósł garść listów pisarza do „pięknej Wielkopolanki”, bardzo zresztą zagadkowych, bo podanych tylko w urywkach, i nieco również zagadkowych informacji o jej życiu, zaczerpniętych z dokumentów dzisiaj nie znanych¹. Z biegiem lat odnalazły się dziennik Marii² oraz staranny odpis listów autora *Rodziny Połanieckich* wraz z częścią ich oryginałów, nadto zaś dwie odpowiedzi adresatki, dzięki czemu pokusić się dzisiaj można o szkicowe choćby odtworzenie dziejów ostatniego, a raczej — jak sam nie bez humoru zaznaczał — przedostatniego, by sobie drogi nie zamykać, „wielkiego uczucia” Sienkiewicza, który ujmując w ten sposób sprawę u początków, nie przeczuwał tragicznego jej podłoża i przebiegu. Nowy rzut oka na to niewesołe wydarzenie ukaże równocześnie w zupełnie innym świetle Marię Radziejewską — przed laty dziesięciu *Kalendarz sienkiewiczowski* mówił o niej jako o „typowej przedstawi-

¹ K. Łepkowski, *Nieznane listy Henryka Sienkiewicza do Marii Radziejewskiej (1899—1907)*. „Kurier Literacko-Naukowy”, dodatek do „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” 1936, nr 31/32 z 3 VIII. Przedruk fragmentów ogłaszanych obecnie listów 1, 4, 10, 11 w: H. Sienkiewicz, *Dzieła*. Wydanie zbiorowe pod redakcją J. Krzyżanowskiego. T. 56. Warszawa 1951, s. 102—113.

² Zob. L. Mikusiński, *Wielkopolskie kontakty Henryka Sienkiewicza w świetle nieznanymi materiałów*. „Tygodnik Zachodni” 1957, nr 19 z 11 V. Z artykułu tego pochodzą przytoczone tutaj urywki pamiętnika; ukazała się w nim również podobizna M. Radziejewskiej.

cielce kobiet pokolenia, które poszukiwało zaspokojenia »tęsknot mistycznych« w przeżyciach erotycznych ze znakomitymi pisarzami»³. Opinia ta, oparta na znanych podówczas źródłach, dzisiaj utrzymać się nie da, czwarta bowiem Maria w biografii powieściopisarza — obok cech wspólnych z rówieśnikami literackimi w rodzaju Janki Orłowskiej Reymonta czy „szalonej Julki” Kisielewskiego, figur melodramatycznych, ma rysy odrębne, indywidualne, swoje własne, pasujące ją na postać wysoce dramatyczną, czy nawet tragiczną. Co to znaczy, mówi jej historia, bardzo zresztą ogólnikowa i wskutek tego niezupełnie jasna.

Jesienią 1899 zamożny ziemianin wielkopolski Józef Kościelski, działacz społeczno-polityczny i... wierszokleta o dużej kulturze literackiej, urządził w swym majątku, Miłosławiu, zlot pisarzy, dziennikarzy i naukowców. Okazja była niezwykła, gospodarz bowiem w swym parku postawił pomnik Słowackiego, by uczcić pięćdziesięciolecie śmierci poety. O wygłoszenie mowy przy odsłonięciu pomnika prosił znanych prelegentów, przede wszystkim Sienkiewicza. Wśród gości znalazła się młoda przyjaciółka pani domu, urodziwa Maria Radziejewska, związana z bytomskim „Katolikiem”, czasopismem, którego redaktorem był brat jej, ksiądz Stanisław, a właścicielką starsza siostra. Sienkiewicz wedle tradycyjnego „pierwszego wejżenia” zakochał się w pięknej pannie, ona zaś zniknęła z Miłosławia. Pisarz jednak nie dał za wygraną i za pośrednictwem znajomych, którzy chętnie podjęli się roli swatów, odnalazł tajemniczą piękność, ofiarował jej komplet swych dzieł z patetycznym listem, otrzymał zimną podziękowanie i... został na lodzie, Maria bowiem wyjechała za granicę, najpierw do Francji, a później do Ameryki.

Przyjacielowi rodziców i własnemu, Józefowi Krasickiemu, który wstawiał się za Sienkiewiczem, jakkolwiek nie był pewien, czy pisarz „to chwilowe wrażenie i uczucie miał zamiar Sakramentem uwieńczyć”, Maria odpowiedziała listem o niepokojących niedomówieniach.

„Jedyną okolicznością, którą chciałabym cofnąć, byłaby moja bytność w Miłosławiu, a zmienić — to chyba moje usposobienie. Biorę życie bardzo poważnie — a jednocześnie szalenie się lekceważę. Z pierwszej przyczyny wynikało moje postępowanie względem Sienkiewicza — a z drugiej — dziwna obojętność na myśl, że życie moje się marnuje. Wprawdzie podnosi się we mnie głuchy bunt przeciw losowi — lecz poczucie bezsilności przywraca spokój — gorszy od śmierci. Jestem bardzo, bardzo zmęczona życiem. Cisza klasztorna ciąży mi, a Paryż — ludzie i nieokreślona przyszłość — przeraża. Muszę jednak ostatecznie zdobyć się na czyn — ruszyć z miejsca — a wreszcie trzeba płynąć z falą”⁴.

W trzy lata później, z Chicago, gdzie stryj jej Jan Radziejewski był proboszczem i gdzie sama studiowała malarstwo w szkole sztuk pięknych, Maria wróciła do kraju i zaskoczyła Sienkiewicza listem, uznanym przezeń za „późny objaw dobroci i współczucia”. Nawiązana w ten sposób korespondencja trwała trzy miesiące, od początku kwietnia do połowy sierpnia 1903, przy czym w początkach maja doszło do rozmowy jej autorów w Hotelu Europejskim w Warszawie i zapewne do rozmów dalszych. I nagle nowa niespodzianka, gorsza od miłosławskiej. Na liście Sienkiewicza dziesiątym, zakończonym „wrażeniami głębokiej i serdecznej przyjaźni”, i odpowiedzi nań z Bytomia, bardzo pogodnej, korespondencja urywa się tak gwałtownie i nieoczekiwanie, że niepodobna oprzeć się przypuszczeniu, iż ciąg jej dalszy zaginął, może zniszczony przez urażoną Marię. Za domysłem tym przemawia osobliwy epilog całej sprawy, ostatni list pisarza z sierpnia 1907, a więc

³ J. K r z y ż a n o w s k i, *Henryk Sienkiewicz. Kalendarz życia i twórczości*. Wyd. 2, rozszerzone. Warszawa 1956, s. 221.

⁴ Cyt. za: M i k u s i ń s k i, *op. cit.*

o cztery lata późniejszy od poprzedniego. Sienkiewicz z całą kurtuazją godzi się na żądanie zwrotu listów, co najwidoczniej zrobił, z wyjątkiem dwu wspomnianych poprzednio.

Sama zaś korespondencja z Radziejewską jest czymś bardzo osobliwym, wręcz unikatem wśród trzech tysięcy znanych listów Sienkiewicza, składa się bowiem nie tyle z listów, ile z bardzo długich traktatów, tak że na jej podstawie trudno zorientować się, jak wyglądał naprawdę stosunek dobiegającego sześćdziesiątki pisarza i jego dwudziestosiedmioletniej partnerki. Oboje oni mówią szeroko i rozwlewnie o sprawach najrozmaitszych, nadto o sobie i swym stosunku do życia. Ona spowiada się ze swych zawodów, ze swego zagubienia się w życiu i konieczności znalezienia jakiejś drogi. On występuje w roli świeckiego „ojca duchownego”, doradcy, przyjaciela i pocieszyciela, spowija się nawet w togę Petroniusza, miłośnika piękna, rozwodzi się, jak niegdyś w liście weneckim do przyszłej żony i jej siostry, nad niedociągnięciami fotografii, które od Marii otrzymał. Niestety, nie znamy jej listu, w którym była mowa o owej pozie Petroniusza. Lektura tych wypowiedzi, często tchnących pozą i sztucznością, i to u obojga autorów listów, budzi podejrzenie, iż nie tylko on, ale i ona występują w maskach, iż mamy tu jakąś nieszczerą grę. Że zaś tak było istotnie, dowodzi dziennik Marii, prowadzony właśnie w miesiącach powstawania jej listów, a wyjaśniający wspomniane poprzednio niedomówienia w liście do przyjaciela, Krasickiego. Pisany dla samej siebie, a na wypadek śmierci przeznaczony do odesłania Sienkiewiczowi, dziennik ten odsłania szczerze i bezpośrednio tragiczną prawdę młodej kobiety, chorej na beznadziejną miłość, starannie ukrywaną przed ludźmi i nie wyznaną jej przedmiotowi, a więc samemu Sienkiewiczowi.

„Chciałabym wiedzieć — brzmi wyznanie z 26 lipca — dlaczego od czterech lat myślę ciągle o nim, skoro nie ma żadnych zrozumiałych powodów, abym go kochała, a jest dołą już w mej własnej naturze i w nim, co się temu Kochaniu sprzeciwia. Jest najpierw jego sława, której nie znoszę, jest Oblęgorek — dar narodowy — którego przyjęcie mnie irytuje, jest Warszawa — jest wiek jego — który w zwykłych warunkach nie nadaje się do uczuć odpowiadających moim. Nadto wiem, że dużo kobiet obdarza swymi względami, że jego uczucia podzielone zostały na cząstki, a moje jest jednolite. Wiem także, że wiele kobiet ubiegało się o jego miłość i że jestem jedną z nich.

„Oszaleć można na taką myśl — cała godność, duma kobieca powstaje przeciw temu, ale cóż to pomoże. Nie umiem kierować się najmniejszym wyrachowaniem, owszem, jeszcze żałuję, że nie mam więcej przymiotów, jakichś lepszych warunków, więcej urody, aby jak najwięcej mu oddać za odrobinę uczucia. Teraz dwa tygodnie nie pisze. Trudno wyraźniej dać poznać, że go nudzi korespondencja ze mną. Nie mogę odgadnąć, co go w mym liście zraziło — nie wiem, jak inni myślą, jak moje myśli tłumaczone być mogą, że zawsze dla mnie stanowić będzie zagadkę”.

W miesiąc później „potrzeba Kochania” otrzymuje zabarwienie akcentami egzaltacji religijnej, stale przewijającej się w wyznaniach nieszczęśliwej Marii.

„Mówię sobie — koniec, lecz wierzę, że Bóg może wszystko, że niemożliwe według świata możliwym podług swoich praw uczyni, i wierzę, że mi go odda. Wierzę, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni i że Opatrzność nas złączy — nie wiem, kiedy, i nie wiem, jak, i nawet nie umiem sobie tego wyobrazić. Lecz on, mój biedak słodki, pewnie nie wie o istnieniu takiej miłości, której beznadziejność nie odbiera nadziei, niepowodzenie nie odbiera otuchy, a która nawet w chwilach zupełnej rezygnacji i wyrzeczenia nie traci siły. Gdy mam nadzieję w cud, gdy myślę, że go

niepowrotnie utraciłam, gdy chcę i gdy nie chcę — zawsze równo kocham. I nie wiem, czy on jest wielkim — czy też moja miłość tak wielka, ale jest w tym coś wielkiego”.

A wreszcie w początkach października notatka w dzienniku głosi: „z Sienkiewiczem wszystko się skończyło”, i autorka, która — jak mówi o sobie — zawsze miała wybór między tulaczką po świecie a piekłem domowym, wywoływanym przez jej matkę, zdecydowana była wyjść za kogoś w Ameryce, kto o rękę jej zabiegał. Na krok ten jednak się nie zdecydowała.

Niestety, nie znamy dziennika Sienkiewicza, i dlatego również nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, co „słodki biedak” o swym przedostatnim wielkim uczuciu myślał i w jaki sposób puścił je w niepamięć. Domysłów nasuwa się tutaj sporo, warto więc przedstawić najprostszy i najprawdopodobniejszy, oparty na znajomości czterolecia, od spotkania „pięknej Wielkopolanki” we wrześniu 1899 w Miłosławiu po 12 października 1903, datę notatki w dzienniku Marii Radziejewskiej o zerwaniu.

Po roku pierwszym, uwieńczonym dwoma tryumfalnymi wydarzeniami, ukończeniem *Krzyżaków* i obchodami jubileuszowymi, nastąpiły trzy dalsze, które stały się jednym pasmem niepowodzeń, źródłem depresji i ustawicznych kłopotów. Znakomity pisarz wyczerpał się całkowicie i daremnie szamotał się z niemocą twórczą, zadokumentowaną rozpaczliwymi wysiłkami nad powieścią *Na polu chwały*, wymienianą w końcowych listach i jego własnych, i Radziejewskiej. Do tego doszedł konflikt z ówczesną krytyką, dla powszechnie podziwianego pisarza bardzo dotkliwy. I w takiej właśnie chwili w mocno powikłane jego życie wewnętrzne wkroczyła najnieoczekiwanej piękna Maria, wyciągając rękę o pomoc, istota wysoce przewrażliwiona, obciążona kompleksami, których autor *Bez dogmatu* nie mógł nie dostrzec, i dlatego przywdział maskę przyjaznego mentora i uderzył w ton tak osobliwy.

Za słusznością takiego rozumienia sytuacji i wyjścia z niej przemawia rzut oka na sprawy roku następnego, 1904, gdy Sienkiewicz po cichu i bez wszelkiej ostentacji ożenił się po raz trzeci, pojmując swą siostrzenicę, Marię Babską, leciwą pannę, przed której dziewczęcą miłością uciekł niegdyś w roku 1888. Teraz ocenił z rezygnacją jej przedmioty jako materiał na dobrą gospodynię i pielęgniarkę, a nawet jako partnerkę do winta, którego z nim i jego siostrą Heleną grywała, jak umiała, w ciągu owych trudnych lat pojubileuszowych. Postępując w ten sposób, bezwiednie realizował zasadę swego dobrego znajomego krakowskiego, zmartwychstańca i profesora, Stefana Pawlickiego. O uczonym tym filozofie opowiadano, iż w czasie egzaminu, gdy zapytany student nie umiał wyjaśnić zasady stoickiej „*Secundum naturam vivere*”, profesor wyręczył go dobrotliwie: „Bo widzisz pan, jak się pan postarzejesz i po obiadach restauracyjnych będziesz chorował na żołądek, wtedy sprawisz pan sobie ciepłe pantofle i szlafrok i ożenisz się pan, żeby zdrowo jadać w domu. Tak, stoicy to byli mądrzy filozofowie”.

Czy stoik z Obłęgorka, decydując się na małżeństwo o charakterze emerytury, dostrzegł, że życie ukazało mu o rok wcześniej kobietę, która przy wszystkich swych kompleksach była uosobieniem tego, czego wymagał od towarzyski życia, niemal realnym sobowtorem Maryni Połanieckiej, i że na tym właśnie polegał tragizm nie tylko jej, ale również i jego samego? A jakieś akcenty tragiczne pobrzmiwają pod tonem rażąco konwencjonalnych jego listów do nieszczęsnej Wielkopolanki. Jeśli nawet zrozumiał to, gdy zwracał na żądanie „łaskawej pani” listy od niej, wiedział, iż innego wyjścia nie ma.

Maria Radziejewska zaś umarła w trzydziestym piątym roku życia w Berlinie, i to, jak głosiła niesprawdzalna plotka, umarła śmiercią z własnej ręki.

SIENKIEWICZ DO RADZIEJEWSKIEJ

1

[Warszawa, 7 października 1899]

Łaskawa Pani.

List Jej do Godlewskiego¹ przyniósł miłą dla mnie wiadomość, że Pani zezwala łaskawie na przysłanie sobie moich książek. Nie umiem wypowiedzieć, jaką mi to sprawia radość. Pragnąłem upamiętnić w jakikolwiek sposób tę chwilę, w której miałem zaszczyt i szczęście Panią poznać i dać niejako wyraz wrażeniu, jakie mi ta chwila zostawiła. Bóg widzi, że jestem o sto mil od chęci wypowiedzenia Łaskawej Pani kilku zwykłych pochlebstw i grzeczności, są bowiem istoty, którym się ich nie mówi, choćby dlatego, że nie śmiałyby się ich wypowiadać. Ja jestem tylko głęboko Pani wdzięczny za dobrą chwilę w życiu, to jest za to nieocenione wrażenie harmonii, ładu, pogody i słodczy, jakiego na widok Pani doznałem. Nie ma w tym, co mówię, nie tylko schlebiania, ale nie ma i żadnej zbytnej śmiałości, albowiem takim samym bezinteresownym i pełnym czci uczuciem estety i psychologa bywałem wdzięczny rozmaitym arcydziełom, które, włócząc się po świecie, oglądałem w różnych galeriach i muzeach. Wrażenia bywały niezmiernie podobne, a różnica polega chyba na tym, że w Pani, jako w istocie żyjącej, odgaduje się jeszcze jakąś dobroć, jakąś wielką przychylność dla ludzi — i że, jak powiada Połaniecki, jak by się ją znało od dawna i w sposób bardzo przyjazny.

Jeśli Pani zechce temu wszystkiemu zaprzeczyć lub widzieć w tym pewną egzaltację, to naprzód odpowiem, że gdyby nie to źdźbło egzaltacji krążące wraz z ziemią w przestrzeni, świat byłby dziwnie banalny, a po wtóre, że po chwilowej znajomości nie mogę wiedzieć i nie mówię o tym, jaką Łaskawa Pani jest w rzeczywistości, mówię tylko, że Pani takie, a nie inne sprawia i pozostawia wrażenie. Zresztą i co do tej rzeczywistości mam jako pisarz swój trochę wyrobiony zmysł obserwacyjny i ufając mu — wolę pozostać przy swoim zdaniu.

Więc oto widziałem zewnętrzną i wewnętrzną harmonię, widziałem rzecz rzadką, miałem wrażenie takie, jakie dają arcydzieła, miałem dobrą chwilę w życiu, zatem na pamiątkę i przez wdzięczność posyłam Pani wraz z wyrazami głębokiego uszanowania i czci tych parę książek, które dotąd napisałem. Nie umiałem między nimi wybrać, więc posyłam wszystkie, jakkolwiek z pewną obawą, że tak znaczna ilość tomów może narobić Pani kłopotu. Posyłka dojdzie zapewne dopiero w parę dni po tym liście, gdyż posyłki chodzą wolniej. Gdyby Łaskawa Pani miała wyjechać wcześniej na to Podole, do którego droga nie prowadzi na nieszczęście przez Warszawę, należy zostawić komuś upoważnienie do

odbioru. *Krzyżacy* nadejdą w swoim czasie, jak również mały obrazek *Na Olimpie*, który ukaże się w książce zbiorowej². Tymczasem, jeśli „Katolik” interesuje Panią i jeśliby mu się przydało na cośkolwiek drukowanie *Krzyżaków*, to najchętniej się na to zgadzam. Tyle gazet ludowych w Ks[ięstwie] Poznańskim i w Prusach drukuje ich nawet bez pytania.

Na pierwszej stronie moich pism, które Łaskawej Pani wysyłam, wypisuję tylko te proste słowa: Pannie Marii Radziejewskiej Henryk Sienkiewicz. Prawdziwą dedykacją niech będzie to, co tu mówię o tych arcywrażeniach harmonii, ładu, dobroci. List jest prywatną własnością, książkę zaś każdy może czytać — a to są rzeczy osobiste.

Pierwotnie chciałem wypisać na białej stroniej tomu pierwszego pewien urywek z powieści mojej pod tytułem *Róża mistyczna*, do której mam już trochę materiału³. Ale że powieść ta nigdy może nie będzie skończona, a urywek opowiadający pierwsze spotkanie się dwojga ludzi, którzy wchodzą następnie w bratni stosunek, mógłby wydawać się zbyt naciągniętym, zbyt śmiałym i insynuującym, przeto zaniechałem tej myśli.

A i tak przepraszam Łaskawą Panią, że nawet i w tym liście zapominam chwilami, żeśmy się widzieli zaledwie przez chwilę, i piszę w ten sposób, jakby nasza znajomość była dawniejszą. Ale przyczyną tego jest właśnie to, co się w Pani widzi i odgaduje. To Pani wina.

Tymczasem łączę słowa najgłębszego uszanowania, wdzięczności i czci —

Henryk Sienkiewicz

Jeszcze jedna prośba: o adres podolski.

Warszawa, Wspólna 24

7 października 1899 r.

¹ Młcisław Godlewski (1846—1908) — publicysta warszawski, przyjaciel i kolega redakcyjny Sienkiewicza.

² H. Sienkiewicz, *Na Olimpie. Legenda*. W: *Sami sobie. Książka zbiorowa na rzecz Warszawskiej Kasy Literackiej*. Warszawa 1900, s. 223—233.

³ Powieści takiej Sienkiewicz nigdy nie pisał; chodziło tu o uzasadnienie wysyłanego listu fikcyjnym pomysłem literackim.

[Warszawa, 18 kwietnia 1900]

Łaskawa Pani.

Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi. Bawiłem we Francji i dopiero na święta wróciłem do Warszawy.

List mój do p. Suttnerowej, ogłoszony w dziennikach, stał się tym

samym własnością publiczną, i dlatego osobne upoważnienie do drukowania go w „Correspondant” jest zupełnie zbyteczne¹.

Wdzięczny jednakże jestem księdzu Blanchetowi za jego skrupuły, skoro zdołały one przypomnieć pamięci Pani chwilowego znajomego z Miłosławia.

Przy czym załączam wyrazy poważania
Henryk Sienkiewicz

Warszawa, 18 kwietnia 1900

¹ List otwarty do baronowej Bertie Suttner, drukowany w „Czasie” z 1 III 1900, w paryskim „Correspondant” ukazał się 10 IV. Ksiądz Blanchet był zapewne redaktorem tego pisma.

3

[Warszawa, kwiecień 1903]

Łaskawa Pani.

Wyznaję otwarcie, że przed kilku laty, po otrzymaniu odpowiedzi Pani na mój pierwszy list, pomyślałem, że się omylił albo nie w porę trafił i że te wszelkie niepospolite dary, które mogły się złożyć w Pani na wysoce harmonijną całość, znajdowały się, przynajmniej w owej chwili, w stanie rozstroju. Odpowiedź Pani nie mogła mnie zachęcić do dalszego badania, jak było, a Jej następne podróże odjęły mi po temu możliwość. Uważałem, że na jednorazowej wymianie listów trzeba poprzestać z tej prostej przyczyny, że Pani tak sobie życzy, i wróciwszy do zwykłych obowiązków życia, starałem się więcej o tym nie myśleć. Po upływie kilku lat nie mogę też absolutnie twierdzić, czym kiedy z kim o Pani nie mówił — ale pozwalałam sobie o tym wątpić, albowiem nieskłonny jestem do wynurzeń i prawie nigdy o osobistych rzeczach nie rozmawiam.

Wyznaję również, że odpowiedź, jaką niegdyś otrzymałem na mój pierwszy list, sprawiła mi przykrość. Od pierwszej chwili poznania Pani uczułem dla Niej wyjątkowo żywą sympatią, albowiem przypomniawszy mi Pani — może nie tyle rysami twarzy — ile postacią i głosem, bardzo mi drogą zmarłą osobę¹. Z tego powodu chciałem się zbliżyć i zmienić wypadkowe spotkanie na bliższą przyjazną znajomość. Czyniłem to bez żadnych ubocznych myśli lub obliczeń, a natomiast z zupełną prostotą i w tej chęci, aby w ówczesnym moim osamotnieniu mieć choćby na krańcu Polski przyjazną kobiecą duszę, z którą mógłbym dzielić się od czasu do czasu myślami i odczuwaniem życia. — W tym znaczeniu

list mój był wyciągnięciem przyjaznej dłoni. Przypuszczałem, że może i Pani czuje się samotną, że więc i dla Niej będzie miała pewien urok i pewną wartość myśl znalezienia przyjaźni nieco wyższej nad pospolitą miarę, opartej na wzajemnym rozumieniu się i duchowym wspieraniu. Myślałem przy tym — i zapewne nie myliłem się — że celem życia Pani jest służba krajowi, a że i dla mnie jest ona nie tylko ideałem, ale wprost namiętnością życia, zdawało mi się więc, że łączy nas i to także, i że na tej podstawie wyrośnie między nami tym łatwiej porozumienie się i duchowe braterstwo. Służba taka, niezmiernie u nas ciężka, staje się nieporównanie lżejszą, a nawet donioślejszą, gdy się ma kogoś, co nas rozumie, utwierdza i wspiera, a gdy to jest delikatna i szlachetna dusza kobieca, to dla mężczyzny staje się źródłem otuchy, ukojenia i zarazem siły. Oto wszystko, co razem wzięte, spowodowało mnie przed kilku laty do szukania przyjaźni Pani. Przyszłość mogła ten węzeł albo rozluźnić, albo zacieśnić. Rozluźnienie, jako stopniowe, nie przyniosłoby żadnemu z nas szkody, zacieśnienie mogłoby stać się pomocą i dobrem w życiu.

Odpowiedź Pani postawiła sprawę na gruncie nadto osobistym, a nawet — niech Pani wybaczy te słowa mej szczerzej życzliwości — na gruncie miłości własnej. Bóg widzi, że nie chcę Pani dotknąć ani tym bardziej obrazić, więc mówię tylko dla wyjaśnienia rzeczy, że z tej właśnie miłości własnej wypłynął i pewien brak prostoty, i ta duma i hardość, o której Pani wspomina — i wreszcie niepokój w postępowaniu Pani. A przecież nie było do tego słusznej i prawdziwej przyczyny. Jeśli moja przyjaźń miała dla Pani jakąkolwiek wartość, to należało ją prostym i dobrym sercem przyjąć, a resztę pozostawić przyszłości, która w żadnym razie nie mogła przynieść nic złego ani upokarzającego. Należało tak uczynić tym bardziej, że postąpienie przeciwne przyczyniło i Pani, wedle jej własnych słów, dużo niepokoju i strapienia.

Ale czy istotnie tak było i tak jest, jak twierdzą te ostatnie, nieoczekiwane i niespodziane listy Pani? Nie mam absolutnie żadnej wątpliwości, że pisanie one były w najlepszej wierze i że dusza tak prawa nie może przemawiać inaczej. Najpodniosłejsze jednak dusze ludzkie często właśnie dlatego, że podniosłość i egzaltacja są to wyrazy jednoznaczne. Ja przypuszczam, Pani, że jeśli ta potrzeba mojej lichej przyjaźni nie zgasła dotąd w Pani, a nawet wzrastała z upływem czasu, to nie dlatego, by chodziło o nią samą, i nie dlatego, by ona sama miała w sobie jakąś siłę, ale z tego jedynie powodu, że życie Pani, zbiegiem okoliczności, nie zdołało się wypełnić żadną nową treścią przynoszącą więcej dobra i spokoju.

Tak szczerze myślę. Gdybym się jednak mylił, gdyby przyjazna prawdziwie pamięć o mnie utrwaliła się istotnie z pewną siłą w duszy

Pani, w takim razie pozostanę Jej na zawsze i szczerze wdzięczny nawet za ten późny objaw dobroci i współczucia.

Przy czym łączę wyrazy najgłębszej zyczliwości
i wysokiego poważania

Henryk Sienkiewicz

¹ Mowa o Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej, młodo zmarłej (1885) pierwszej żonie pisarza.

4

11 IV 1903

Warszawa, Hoża 22

Łaskawa Pani.

Dziękuję bardzo szczerze. Trapiła mnie tu myśl, czy mówiąc o potrzebie przewodniej idei w życiu, nie byłem zbyt szczerzy i czy nie powiedziałem czegoś, co mogło Panią dotknąć lub urazić. Bóg widzi, żem takiego zamiaru nie miał. Przeciwnie: chciałem, by Pani było choć trochę jaśniej, trochę lepiej i trochę spokojniej — i tylko ta intencja dyktowała mi moje słowa.

Że zaś z doświadczenia życiowego wiem, że jedyną drogą prowadzącą do względnego spokoju jest zapomnienie o sobie, a poślubienie jakiejś altruistycznej, wielkiej myśli ogólnej, więc mówiłem w takim właśnie duchu. I jeszcze jedno! Czy Pani nie zauważyła, że zawsze najtrudniej jest znaleźć jakąś rzecz wtedy, kiedy się jej gwałtownie szuka? Potem znajduje się ona sama. Może tak jest i ze szczęściem, i ze spokojem, i z równowagą duchową. Nie należy tego szukać zbyt namiętnie drogą osobistej, wewnętrznej analizy. Trzeba mieć cel wielki zewnętrzny, a kto wie, czy spokój nie znajdzie się wówczas sam przez się jako szczęśliwszy a niespodziany przypadek losu.

Lecz pamiętam pytanie Pani, co robić, jaką ideę wybrać i na jakiej drodze jej służyć. Jest jedna na to odpowiedź: trzeba przede wszystkim coś ogromnie umiłować, a wówczas miłość będzie parła do czynu i z pomocą rozumu znajdzie drogę. Czy Pani pamięta śliczny wiersz Słowackiego: „Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy, a drugie pół tu dla siebie zachowa”?¹ Trzeba temu czemuś wielkiemu oddać całą duszę, czy to będzie ojczyzna, czy sztuka, czy literatura, czy którakolwiek z tych wielkich rzeczy, które tak pociągają ku sobie dusze ludzkie, jak magnes żelazne opiłki. Niech Pani pozwoli się przyciągnąć i wchłonąć. — To nie zmniejsza osobistości, owszem, to ją potęguje i powiększa o całą tę siłę, jaka jest w danej idei zawarta. Nie wiem i nie chcę zgadywać, jaką mogłaby być rola Pani w każdej sprawie, której by Pani chciała

służyć, ale ze względu na ogromne dary, jakie Pani ze sobą na świat przyniosła, myślę, że nie byłaby to mała rola. Nie ma nic dalszego ode mnie, jak chęć mówienia Pani banalnych grzeczności, ale przecież Pani sama rozumie, że natura obdarzyła Ją wyjątkowo hojnie, począwszy od zewnętrznej urody, której nie wolno lekceważyć, bo to jest odblask bożej myśli i bożego piękna, skończywszy na niezwyklej po prostu inteligencji i tej równie niezwyklej wyobraźni, która, wedle własnych słów Pani, jest dotychczas Jej wrogiem, a powinna być Jej skrzydłami. Kto tyle otrzymał, powinien dużo oddać, a im więcej z siebie wyczerpie, tym mu więcej napłynie. Takim jest każde czyste i bogate źródło.

A nie mówię tego jako fanatyk lub jako prozelita, który by chciał dla swej religii zyskać jednego wyznawcę, a dla swej armii jednego żołnierza więcej. Nie. — Mnie chodzi o Panią samą, o Jej spokój i uciśnienie duchowe. Zdaje się same przez się zbyt wielkie, aby którejkolwiek mogło zależeć na pojedynczej indywidualności. Ja np. zdobyłem sobie pewne stanowisko w literaturze, a literaturze naszej pewneoczesne miejsce między europejskimi — a z tego wszystkiego sędzę, że gdyby mnie wcale nie było lub gdybym był nic nigdy nie napisał, nie przyniosłoby to literaturze polskiej prawie żadnego uszczerbku i byłaby tak samo wielką i tak samo potężną. Więc powtarzam, że nie chodzi mi w tym razie o przysporzenie danej idei jednego pracownika więcej, w osobie Pani, ale o Nią samą, o Jej szczęście i spokój. — O to chodzi mi bardzo. — A ponieważ myślę, że to jest droga prowadząca do spokoju i wewnętrznego uspokojenia, więc ją wskazuję.

Niechże mi Pani nie czyni tej krzywdy i nie posądza mnie, że mówię do niej tylko jak mężczyzna do pięknej kobiety. Bynajmniej. W młodych latach byłem ćmą, która leciała do światła, choćby przyszło jej w nim skrzydła opalić. Byłem nią jeszcze może trochę w Miłosławiu. Ale w moim wieku kilka lat — to tak jak w młodszym całe dziesiątki. Obecnie został esteta, został artysta ze strunami, których wrażliwości czas nie mógł przytępić, i został człowiek z niezupełnie złym sercem. Estecie i artyście żal bożego arcydzieła, a człowiekowi żal duszy szlachetnej i czystej (bo to wiem nawet od osób względem Pani obojętnych), która jest sama ze sobą w ciągłej rozterce. Więc Pani obchodzi mnie żywiej, niż bym to zdołał jakimikolwiek słowami wyrazić — i porusza we mnie to, co jest najpocziwszego i najszlachetniejszego. Jeślim wypracował trochę pogody duszy, podzieliłbym się nią z Panią, tak jak podzieliłbym się chlebem. Mam poczucie, że winą i grzechem byłoby dopuścić, żeby taki kwiat miał zwiędnąć, więc przemawiam do Pani tak, jak brat do cierpiącej a kochanej siostry — uczciwie i bezinteresownie. Zdrowie moje jest znacznie od dość dawna zagrożone i nie należy mi się już w życiu zbyt wiele, ale choćby należało się jeszcze mniej,

uważałbym zawsze za rzecz drogą stosunek do duszy, która oskarża się i oczernia, a sama nie wie, ile nawet w tej rozterce i walce wewnętrznej jest wyższa nad średnią miarę.

Toteż w owym liście pisanym przed laty nie miałem na myśli tej zwykłej harmonii, polegającej na zadowoleniu z siebie, ale myślałem raczej o takiej muzyce duchowej, jaka na przykład jest w dramacie greckim, w którym nie brak bólu i walki — a który jest jednak harmonią wyższą i doskonalszą nad zwykle ludzkie pojęcie. Co do naszej rozmowy, byłem pewny, a nawet Pani pisałem, że Pani nie powie „ani słowa z tego”, co zamierzała. I przyczyna jest dla mnie jasna. Oto Pani nie miała mi do powiedzenia nic takiego, co by w niej samej było skryształizowane, jasne i konkretne. Może Pani inaczej się zdaje, ale w rzeczywistości tak jest. W duszy Pani tkwią tylko poczucia, że się tak wyrażę, teoretyczne różnych możliwości, złożone z nitek tak cienkich, że niepodobna ich wyrazić słowami. Nie miały one nigdy żadnej realnej podstawy, a gdyby ją nawet miały — i tak niepodobna by było zdobyć się Pani na odpowiednią szczerość. Nie miałyby Pani na to dość odwagi i dość ufności we mnie. To może przyjść z czasem. Jeśli Panią ten stosunek nie znudzi lub jeśli coś innego nie pociągnie Pani w inną stronę, to może kiedyś będziemy rozmawiać o tym pierwszym naszym spotkaniu i o tym, co było następnie, z wzajemną wielką i słodką szczerością i z wielkim spokojem, jak dwoje wzajem drogiego sobie rodzeństwa, które rozmawia z dłonią w dłoni i znajduje radość, a poniekąd i szczęście w wydobywaniu z duszy wszystkiego, co leży w jej głębi. Może tak będzie, a może nie. Zależy to więcej od Pani niż ode mnie.

Tymczasem pozostaję z czcią i głęboką przyjaźnią

H. Sienkiewicz

Proszę o słowo odpowiedzi, czy list doszedł.

H.S.

¹ Zob. *Beniowski*, pieśń III, w. 721—722.

Łaskawa Pani.

Przyjdę wedle życzenia Pani jutro — o godzinie jedenastej lub nawet wcześniej, do hotelu pod N 147. — Tymczasem przesyłając wyrazy poważania, łączę z nimi życzenie, aby ta rozmowa, na której zdaje się Łaskawej Pani tak wiele zależeć, zdołała odpowiedzieć temu wszystkiemu, czego Pani po niej oczekuje.

H. Sienkiewicz

6

[Warszawa, 4 maja 1903]

Łaskawa Pani.

List Jej odebrałem dopiero po powrocie z Hotelu Europejskiego, gdzie byłem ściśle o godzinie 2-giej. Szwajcar wskazał mi N 134, tam też pukałem — na próżno. Nie mając ze sobą karty wizytowej, zostawiłem swoje nazwisko służącej. — Wyszedłem dziś z domu o 12¹/₂, list Pani musiał zatem przyjść później, zapewne z winy posłańca.

Do wieczora jestem dziś zajęty. Jeśli Pani życzy sobie widzieć się ze mną, to upraszam o wyznaczenie mi godziny na jutro i o przesłanie mi wiadomości dziś jeszcze.

Łączę wyrazy poważania

H. Sienkiewicz

4 maja 1903

Hoża 22

7

[Warszawa, maj 1903]

ul. Hoża 22

Łaskawa Pani.

Dziękuję bardzo za list i szczerze słowa w nim zawarte. Chciałbym odpisać obszerniej, nie wiem jednak, czy adres jest dostateczny i czy bez wskazania ulicy i domu odpowiedź moja dojdzie. Jeśli otrzymam od Łaskawej Pani wiadomość, że ta kartka doszła — to będzie znać, że tak. Tymczasem dziękuję raz jeszcze i łączę słowa wysokiego poważania.

H. Sienkiewicz

Adres mój jest: Warszawa, ul. Hoża 22.

8

[Oblęgorek,] 12—13 VI 1903

Łaskawa i Droga Pani.

Byłem mocno zajęty i niezdrów. Miałem silną newralgię w twarzy i w prawej ręce — dlatego zwlekałem z odpowiedzią, a raczej odłożyłem ją do powrotu do Oblęgorka. List Pani i fotografię Jej odesłano mi do Warszawy, dokąd jeździłem na zjazd byłych wychowañców Szkoły Głównej¹. Zjechało ich blisko siedmiuset. To pokolenie dużo zrobiło dla kraju, podniosło kulturę umysłową i etyczną — a pracowało i pracuje dotąd z wielkim zapałem i wielkim patriotyzmem w najcięższych, jakie sobie można wyobrazić, warunkach, pod terroryzmem i wśród prawdzi-

wej orgii rusyfikacyjnej. Ale nie daliśmy się i nie daliśmy młodszego pokolenia. Z pewnością też niejeden z tych byłych uczniów Szkoły Głównej mógłby stosować do siebie słowa św. Pawła: „Potykaniem dobrym potykałem się” *etc.* Ale jest to fala, która przepływa i wkrótce przepłynie zupełnie. Z tego powodu zjazd był nie tylko poważny, ale trochę melancholijny. Na prośbę komitetu musiałem przemawiać, zagając zebranie *etc.* Części mego przemówienia wydrukowały dzienniki, ale tylko części. — Mnóstwo osób poznałem i zmęczyłem się uczciwie. Przy tym newralgia zatrzymała mnie w Warszawie o kilka dni dłużej, niż zamierzałem, bo miałem do roboty i z dentystą. Wróciłem do Oblęgorka trochę wyczerpany, ale tu odpoczywam. Mam wprawdzie za tydzień jechać na ślub tego pana, który dzierżawi Oblęgorek, i na jakies posiedzenie, ale jeśli pojedę, to chyba na dwa dni — po czym zajmę się Sobieskim², który także zaległ.

Dziękuję bardzo za list i fotografię, chociaż pomimo całej wdzięczności nie mogę się na to zgodzić, by była dobra. Ten rzeźbiarz z Chicago może się zna na bryłach i kształtach, ale nie zna się na wyrazie. Tylko natury przeorane przez wieki kultury mają wyrobiony zmysł piękna, więc Amerykanie, nawet artyści, nie mogą się nim odznaczać. To nie jest wyraz Pani. A prócz tego każde oko patrzy inaczej. Jedna źrenica jest w pośrodku, druga z boku oka (niech Pani to sprawdzi), wskutek czego spojrzenie nie posiada tej szczeroci, którą mają oczy Pani. Usta z powodu niedostatecznego wyretuszowania wyszły zbyt twardo i jakby oschle, czego nie ma w naturze. Jeżeli mimo tego jest coś artystycznego w tej głowie, to nie z winy fotografa. Powiedziałem niegdyś przez usta Płoszowskiego, że są twarze wyglądające na przykład z muzyki na rysy ludzkie. Portreciści, a nawet fotografowie powinni by o tym pamiętać. Czy Pani wpadły kiedy w ręce fotografie obrazów Burne Jonsa³ robione w Anglii? Stanowią one dowód, że i fotografia może być artystyczna. Chciałbym, żeby ten zakład mógł kiedyś Panią fotografować.

Chciałbym również, aby już raz wreszcie odbyły się te pruskie wybory i aby jedna, tak bardzo wrażliwa, a tak ogromnie obchodząca mnie dusza przestała się wzburzać i niepokoić. Ze względów publicznych to nie jest sprawa tak wielkiej wagi, jak się wydaje tym, którzy biorą w niej bezpośredni udział, ale mówiąc ściślej, niewiele to znaczy, kto zostanie wybrany. Pozwolę sobie powiedzieć jedną rzecz. Oto pod zaborem pruskim spotkałem wiele kobiet inteligentnych, subtelnych, wytwornych umysłowo i bardzo zdolnych — natomiast mężczyzn wyżej uzdolnionych ziemie te nie wydają. Mogą się tam znaleźć ludzie bardzo zacni, posiadający takie właśnie zdolności redakcyjne i kupieckie, o jakich Pani pisze, ale człowieka, który by (z całym nawet uwzględnieniem różnicy stosunków austriackich od pruskich) potrafił być tym

w parlamencie, czym był Hausner, Smarzewski, Dunajewski⁴ *etc.*, nie widziałem i sądzę, że go nie ma. Nie ma artystów, nie ma pisarzy, nie ma poetów, nie ma mówców wielkich i potężnych. Jest tam jakaś ciężka jałowość, jakaś niezdolność do górnych lotów, jakiś pruski ołów, który utrzymuje dusze nisko przy ziemi, jakieś „ady przecie niepodobno”, praktyczne, małomieszczańskie, wyłączające i wielki czyn, i wielki a wstrząsający krzyk, jaki gdzie indziej wywołuje krzywda i niedola.

Wobec tego mniejsza o to, kto będzie wybrany, bo nikt się nie odznaczy, nikt nie wstrząśnie. Wielka i ważna sprawa to jest lud, lepszy niż gdziekolwiek. Ale tej sprawy jedne wybory nie rozstrzygną i nawet nie potrafią na nią wpłynąć w sposób ostatecznie decydujący.

Są to już jednakże wielkie wody polityczne, na które nie chcę płynąć, tym bardziej że w tych miejscowych sprawach bytomskich bierze Pani udział nie tylko głową, ale i sercem, i nie tylko osobiście, ale poniekąd i osobowo. Dlaczego wreszcie mielibyśmy ze sobą mówić o wyborach, o księdzu Kopie lub nawet o „Katoliku”. Na polu artystycznym można służyć krajowi i narodowej kulturze górniej i skuteczniej niż na politycznym, choćby się przy tym pracowało nie w jednym, ale w dziesięciu dziennikach. Zadam Pani jedno pytanie: czy mianowicie Jej dramat wewnętrzny nie polega w znacznej części na tym, że będąc z natury, z usposobień i z aspiracji, artystką zmuszona była Pani okolicznościami zwrócić się w stronę polityki, a bardziej jeszcze społecznictwa? Czy Pani rozterka wewnętrzna nie pochodzi z tego powodu, że na strunach Jej duszy, na których powinien grać Apollo, gra Bytom, gra „Katolik”, grają partie śląskie *etc.*? W łabędzie nie można przecie orać, bo od tego są woły, a gdy się je zaprzęże do pług — to się szarpia. Czynie powyższe przypuszczenia na mocy naszej rozmowy o malarstwie i na mocy ostatniego listu, z którego widać wielką miłość do muzyki. Gdyby tak było i gdyby podobne porywy tkwiły jeszcze w duszy Pani, to chciałbym o tym wiedzieć, bo odczułbym to lepiej niż ktokolwiek w najbliższym Pani otoczeniu. Ale w takim razie ten żal Pani, że nie urodziła się Amerykanką, i to poczucie, że w tamtym środowisku byłoby Jej lepiej, jest złudzeniem. I na amerykańskim życiu można zaszczepić sztuki, tak jak zaszczepiono np. pomarańcze w Kalifornii. Są tam one nawet ogromne, ale mają skórę zbyt... grubą. Samorodnie sztuka wykwita z tradycji, jak bluszcz z ruin. Co do mnie, podziwiałem w Ameryce potężną naturę ziemi i społeczną energię mieszkańców, ale mieszkać bym tam nie chciał. Zbyt na to lubię pył wieków, starożytne zwaliska, miasta włoskie, galerie stworzone nie przez pieniądź, ale przez geniusz Wenecji, Florencji i Rzymu. Zbyt lubię Homera, Sofoklesa, zabytki Grecji i jej ogromną tradycję, która, choć często o tym nie wiemy, płynie jak krew w naszych żyłach — i żyć bym już bez tego nie mógł, również jak bez sta-

rych szlchetnych książek i bez szlchetnych ludzkich postaci, pięknych nie z przypadku, ale z rasy. Ideom społecznym Pani i Jej zamiłowaniu do swobody byłoby w Ameryce lepiej, ale jeśli najgłębszą treścią Jej duszy jest nie społecznictwo, lecz artyzm — to prędko przyszloby rozczarowanie.

Amerykańskie ręce są zbyt szorstkie, a jeśli nie są, to delikatność naśladowa; twarze bywają piękne jakby tylko przez szczęśliwy traf, a ludzie tamtejsi tak się mają do europejskich, jak newyorskie lub chicagowskie banki i hotele do starych pałaców weneckich. Przy tym to, co Pani pisze o sympatiach, że tu są p o m i m o, nie zaś dla, to może leży właśnie w tym odgadywanie bardziej wysubtelnione głębin Jej duszy, a w każdym razie pewna wytworność duchowa i pewna cześć dla kwiatu, dla tego tylko, że kwitnie i wonieje, a p o m i m o, że go nie można przypiąć sobie do kapelusza. Co do mnie, wolę, że Pani tu wyrosła.

Ale trzeba kończyć. Raz jeszcze dziękuję za fotografię, a głównie za tak łaskawe i szybkie zadośćuczynienie mej prośbie. Swoją prześlę zaraz, jak tylko nową dostanę lub jaką dawniejszą odnajdę. Tymczasem całuję ręce drogiej Pani i pozostaję ze czcią i serdecznym uczuciem najgłębszej przyjaźni.

Henryk Sienkiewicz

¹ Zjazd wychowanków Szkoły Głównej, tj. Uniwersytetu Warszawskiego (w latach 1862—1869), której studentem był Sienkiewicz, odbył się w Warszawie w pierwszych dniach czerwca 1903.

² Mowa o powieści *Na polu chwały*.

³ Edward Burne-Jones (1833—1898) — głośny malarz angielski, autor wielu portretów, m. in. I. Paderewskiego.

⁴ Otto Hausner, Seweryn Smarzewski, Julian Dunajewski — galicyjscy posłowie do parlamentu w Wiedniu, gdzie Sienkiewicz stykał się z nimi. Dunajewski, profesor uniwersytetu krakowskiego, był nadto austriackim ministrem finansów.

Łaskawa Pani.

Muszę poprzestać tym razem na krótszej odpowiedzi, albowiem przyjechał tu p. Curtin, Amerykanin¹, tłumacz moich powieści, który mając niewielu znajomych w Warszawie, przesiaduje u mnie po całych dniach.

Pragnę tylko powiedzieć Łaskawej Pani, że ta radość, o której mówi Jej list, stała się także i moją. Są istoty, które zaledwie się pozna, już ich losy obchodzą tak blisko, jak gdyby były od dawnych lat przedmio-

tem najtkliwszych trosk. Pani do takich istot należy. To także jeden z tych darów, których Bóg nie szczędzi wybranym. A również muszę powiedzieć i to, że jeżeli Pani w tym duchowym stosunku i w jego przyszłym rozwoju widzi istotnie swoje dobro i idealną podporę życia, to jest to dobro stałe, które nie minie i nie zawiedzie, chyba że Pani, znalazłszy coś jeszcze lepszego, sama je odrzuci. Ale i w takim razie wspomnienie o tym, że się trochę, choćby przez czas pewien, przyczynił do rozjaśnienia Jej życia, będzie dla mnie jednym z najśodszych. Nieraz zdarza się słyszeć lub czytać, że taki duchowy związek bratni między mężczyzną i kobietą należy do rzeczy niemożliwych i że musi się zmienić lub zmać. I ja myślę, że często tak bywa, ale wówczas, gdy chodzi o dusze płaskie, lub przynajmniej bardzo zwykłe. W przeciwnym razie, dla dusz wyższych nad średnią miarę przyjaźń taka, choćby najserdeczniejsza, może być idealnym chlebem życia i pokarmem wprost błogosławionym. Mówię już o tym śmieiej, bo na podstawie Jej słów własnych. Niechaj się też Pani ich nie strzeże, nie odmierza ich zbyt ostrożnie i nie obawia się posądzenia o egzaltację. Chyba i w najbliższej rodzinie nie ma Pani nikogo, kto by przyjął każde Jej słowo z większą dobrą wolą, z serdeczniejszą życzliwością i z równym zrozumieniem i odczuciem.

Gdyby miało być inaczej, byłbym udał, że nie widzę tej dłoni, która wyciągnęła się do mnie tak niespodzianie i po tak długim czasie.

Ma jednak taki bratni stosunek przyjazny swoje wymagania, którym należy uczynić zadość. Trzeba się poznać bliżej i wiedzieć o sobie niemal wszystko. Ja za mało wiem o Pani. Jakie są warunki Jej życia, jakie otoczenie, jaki do niego stosunek, jakie trudności, jakie strony dodatnie, czy Pani dobrze, czy źle w Jej środowisku? Wszystko to są rzeczy dla mnie nie znane, a tak bardzo mnie teraz obchodzące. Nie ciekawość mną powoduje, ale niepokój i domysł, zresztą aż nazbyt łatwy, że Pani jest jak mimoza, która ustawicznie tuli listki w zetknięciu się z rzeczywistością. Jeśli domysł mój jest nietrafny, a prośba wyda się Jej przedczesną i zbyt śmiałą, to z góry za nią przepraszam, ale przecie ufam, że Pani oceni właściwie intencję, która ją wywołała. To jest odpowiedź na wyciągniętą dłoń i serdeczna chęć przymierza, i dalsza uczciwa myśl, że moja rada mogłaby się z czasem na coś przydać, jakieś trudności usunąć, drogę pod siostrzanymi stopami wyrównać.

Jeśli takie zbratanie się dusz naszych jest dobrem i potrzebą, którą Pani istotnie odczuwa — to teraz trzeba już być szczerą i ufną. I ja potrafię być szczerym, ale teraz mniejsza o to, co mnie dotyczy, bo ja już jestem na drugiej stronie góry i mniej mi się należy, i wyrobiłem w sobie większy spokój, lub raczej większą rezygnację — a służba moja i droga są jasno wytknięte. Gdy pomyślę, że nadto mogę zyskać jeszcze

przyjaźń Pani, mam takie uczucie, jakby mi kto rzucił kwiat na piersi. Potrafię tę niespodzianą łaskę losu ocenić i na niej poprzestać. Tymczasem chodzi mi wyłącznie o Panią. Czy Pani zechce mówić ze mną o sobie jak z wybranym powiernikiem myśli? Czekam na odpowiedź na ten list jeszcze w Warszawie, gdyż za tydzień dopiero wyjeżdżam na wieś. Listy tam idą dłużej, ale czy pod warszawskim, czy pod wiejskim adresem, dochodzą zawsze z wszelką pewnością moich rąk. Adres wiejski jest: Oblęgorek przez Kielce. Tymczasem załączam wyrazy wysokiego poważania, czci i najgłębszej przyjaźni.

Henryk Sienkiewicz

¹ Jeremiaś Curtin (1835—1906) — tłumacz wielu dzieł Sienkiewicza, odwiedzał go kilkakrotnie w Polsce.

10

Oblęgorek [8 lipca 1903¹]

Droga Pani.

W co się wkłada pracę, choćby niezbyt chętną, z tym się zrasta i zostawia się tam część własnej duszy, dlatego nie dziwiłbym się, gdyby Pani poczuwała się do pewnej solidarności z „Katolikiem” i gdyby losy jego współpracowników obchodziły Panią bliżej. I to tylko miałem na myśli pisząc o względach osobistych. Co do „ołowiu pruskiego”, oczywiście nie on sam jest powodem tego stanu, o którym poprzednio wspominałem. Wyjałowienie rozpoczęło się jeszcze przed rozbiorem, czego dowodem, że żadna z wybitniejszych postaci naszych historycznych, licząc od w. XVI, nie pochodzi z Wielkopolski. Myślę jednak, że owa poziomość, o której Pani mówi, i ta głupowata utylitarność, i to ociążałe filisterstwo dusz mogło Polakom spod zaboru pruskiego w znacznej części udzielić się od rozmaitych „familii Buchholzów”². Może dlatego kobiety pozostały lotniejsze, że mniej miały z nimi zętknięcia.

A w ogóle w Prusach mało jest miejsca na ideały. Biorąc rzecz najbezsronniej, ze stanowiska czysto filozoficznego, państwo to jest jednym z najciemniejszych objawów ducha ludzkiego w dziejach ludzkości. Przed rokiem 70 były czasy istotnie lepsze. Przewiewały Europę idee szersze i wyższe. Od czasu przewagi Prus poziom etyczny obniżył się; pracowitość przestała obowiązywać, ludzkość stała się brutalniejszą, egoizmy narodowe również. To, na co patrzyła Pani przy obecnych wyborach — to przeważnie jest wynikiem tego nastroju, który zapanował od 70 roku. Duchowe chamstwo nigdy nie panowało tak absolutnie i z taką bezwzględnością jak dziś. A na domiar państwo pruskie jest objawem zbytecznym. Czy Pani zauważyła tę różnicę, że np. państwo

francuskie wytworzył naród francuski, angielskie angielski — pruskie zaś jest wytworem nie, jak bywa zwykle, naturalnym, ale politycznym i dynastycznym. Prusy bez Hohenzollernów są wprost nie do pojęcia. Niemcy zamieszkali na ziemiach pruskich mogliby być przyłączeni do Bawarii, Saksonii, Hanoweru lub urzędzeni na sposób szwajcarski, ale istnienie państwa takiego, jak dziś, nie byłoby zgoła naturalną i dziejową koniecznością. Z tego powodu Francja np. lub Rosja nie mogłyby być wykreślone z karty Europy tak, jak Napoleon wykreślił Prusy. Niemcy pozostaną sobą, ale Prusy są zawsze do obalenia. Jest to zjawisko w czasie, a ponieważ jest w najwyższym stopniu ujemne, więc każdy, kto przykłada topór do tego pnia, czyni dobrze.

Niegdyś przed laty może siedmiu lub dziesięciu zdarzyło mi się rozmawiać o tym ze starym ministrem Dunajewskim i dziś przypominam sobie ze szczególną uwagą jego zdanie, że socjalizm może nie mieć przebiegu tak zapalnego, jak miała rewolucja francuska, ale z pewnością uniemożliwi Hohenzollernów, a z nimi i państwo pruskie takie, jakim jest obecnie. To się w oczach sprawdza.

Ale przejdźmy do rzeczy bardziej osobistych. Talenty istotne są jak źródła bijące. Zasypane w jednym miejscu, przebijają w drugim. Ta poziomość i to filisterstwo, które polega na odwodzeniu młodych ludzi od dróg artystycznych, to nie objaw specyficznie poznański lub śląski, to rzecz odwieczna. Pisze już o tym żyjący w 2-m wieku grecki pisarz Lucjan³, a i przed nim był to objaw aż nazbyt częsty. Może w czasach Odrodzenia, gdy potężni mecenasі obsypywali złotem artystów, nie odmawiano młodzieńców od zawodów artystycznych — a i to. Dość czytać Vasarego⁴. Co do mnie, z powodu zachwiania się naszego rodzinnego majątku słyszałem w swoim czasie słowo w słowo to wszystko, czego zmuszony jest słuchać brat Pani: że się zmarnuję, że literatura nie daje chleba, że kraj jest w takim położeniu, w którym *etc., etc., etc.*⁵ Słuchałem. Zapisalem się na wydział medyczny, ale po roku cisnąłem wszystko w kąć i poszedłem za własnym zamiłowaniem. Niech tak uczyni brat Pani, jeśli wierzy w swój talent i jeśli Pani w niego wierzy. Być może, że ci, którzy odmawiają i odwodzą, na sto razy dziewięćdziesiąt razy mają słuszność, ale rzecz właściwie w tym, że dziesięć razy się mylą. Rozsądek jest wyborynym przewodnikiem na co dzień i doskonałą miarą powszedniości, natomiast gdy chodzi o rzeczy nie-powszednie, nie masz nad niego nic głupszego i niedołęźniejszego. Dlatego to szekspirowski Poloniusz ginie w zetknięciu z Hamletem. W swoim czasie widywałem na wystawach obrazy podpisane: Radziejewski, odznaczające się kolorytem. Ale że to było przed kilku laty, więc przypuszczam, że to jakiś imiennik⁶.

Mówiąc o Malczewskim pisze Pani: „ku wielkiemu memu zmartwie-

niu zobaczyłam tam Pana malowanego secesyjnie”. Bałamuci mnie to duże P. Czy to znaczy jakiegoś pana w ogóle, czy mnie? Jeżeli Pani miała na myśli moją osobę — to jest pomyłka. Malczewski nigdy mnie nie malował, a ten pan otoczony zmorami to jest, o ile wiem, Edward Raczyński z Rogalina⁷, który zresztą nie był nigdy do mnie podobny.

Droga Pani! Siedzi we mnie za dużo Petroniusza, abym mógł zrozumieć podziw i uznanie dla wypadków serbskich⁸. Potrafię wyrozumieć rewolucjonistów ideowych, spiski, tajemne stowarzyszenia, zamachy, krwawą walkę z tyranią i reakcją — wszystko dobrze. Ale ta dzicz pretoriańska rąbiąca martwe ciało kobiety, choćby najgorszej, ci pastusi zmienieni w oficerów, ta mieszanina świnopastwa, kawiarni, koniaku i zwierzęcego okrucieństwa wydaje mi się czymś wstrętnym i plugawym. Zgnieść Obrenowiczów w imię ideałów społecznych — ujdzie, ale mordować Obrenowiczów dla Karageorgewiczów to przede wszystkim rzecz marna. Rozumiem wulkan, ale nie w przedpokoju ani w umywalni. Postawienie np. pomnika Murawiewowi w Wilnie uważam za rzecz podlejszą i nikkczemniejszą, ale ta brutalnością przechodzi wszystko⁹.

Jeden z tych bohaterów, Risticz, służył niegdyś w wojsku rosyjskim i stał w Kaliszu. Pewnego razu począł w winiarni wymyślać na kraj i ludzi, za co spoliczkowany i wyzwany na pojedynek, po kilku złożeniach szablą począł w najnikczemniejszy sposób uciekać. Przeciwnik (Kobierzycki) dognał go, wyplazował i kazał mu całować tę ziemię, przeciw której bluźnił, co wszystko zostało natychmiast wykonane. Oficerowie rosyjscy wyrzucili tego serbskiego Bayarda¹⁰ z pułku, on zaś pojechał do Serbii i tam ogromnie walecznie rąbał nieżywą już Dragę.

Podróżuję dużo po świecie, spotykałem się czasem z Serbami i zawsze mimo woli miałem uczucie, że rozmawiam z człowiekiem niższego gatunku. I to jest rzecz dziwna, niezależna nawet od stopnia kultury, bo takie same uczucie mam rozmawiając np. z Prusakim (nie z Niemcem, ale z Prusakim), a co większa, sprawdziłem niejednokrotnie, że na Prusaka patrzą tak samo Włosi, Francuzi, nie mówiąc już o Anglikach. Może to jest pewne uczucie pogardy, jakie mają przedstawiciele narodowości i państw dawnych, niegdyś potężnych, dla parweniuszów, pełnych buty i arogancji. Zresztą w nas grają rolę i reminiscencje historyczne. Niedawno zdarzyło mi się przy otworzeniu *Voluminów legum*¹¹ trafić na rotę przysięgi, jaką składali elektorowie brandenburscy na wierność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, majestatowi króla i narodowi polskiemu.

Ale to znów polityka. Serbia mniej obchodzi mnie od Bytomia, więc do niego wracam. Sam już nie wiem, czy to ja jestem tak, gdy chodzi o Panią, wymagający, czy też i ta fotografia niedobra. Był malarz,

który mógłby zrobić portret Pani — mianowicie Chaplin. Z żyjących obcych Herkomer, bo Lembach daje twarzom zbyt kościany koloryt. Z naszych chyba Axentowicz¹², nie dlatego, by stał z tamtymi na równi, a nawet blisko, ale dlatego, że się nie dziwaczy i ma delikatną rękę. W naturze ma Pani niezmiernie szczere oczy, czego na tej fotografii znów nie ma. To jest twarz osoby światowej, która zdaje się mówić do patrzących: „patrzcie, jak się Panu Bogu udało”. I dobrze, to swoją drogą, ale w naturze to jest jakby niezależne od Pani i nie stanowi zasadniczej treści jej wyrazu. Wyraz jest inny i znać, że Pani nigdy, albo bardzo rzadko, o tym myśli, a natomiast dużo o innych rzeczach, płynących z życia wewnętrznego i od niego zależnych. Może tak widzę dlatego, że wiem, jak natężone jest to życie wewnętrzne.

A jest aż zbyt. Wprawdzie na świątyni w Delfach był napis: „Poznaj siebie samego”, ale wtedy rozumiano to nieco inaczej. Nowożytna autoanaliza to koło błędne, w którym traci się odwagę i ochotę do życia. Nawet i analiza w ogóle, jeśli nie jest stosowana do celów obiektywnych, naukowych, to jest, jeśli bada objawy życiowe tylko w stosunku do nas samych, wiedzie do sceptycyzmu i zniechęcenia. Inaczej mówiąc, trzeba umieć badać i należy badać, gdy się ma na celu przedmiotową prawdę, ale trudno umieć nie badać, aby uniknąć subiektywnej niedoli. Kto zbyt blisko przypatruje się posągom, nie ogarnia ich całości, to jest, nie widzi ogólnej harmonii i wdzięku, a natomiast dostrzega tylko skazy. Życie i indywidualne, i zbiorowe musi być brane bardziej *en bloc* — inaczej zawsze przedstawi się wstrętne, i to do tego stopnia, że istotnie można żałować, że się nie było świadomie złym. Kto nie zważając na szczegóły, nie analizując skaz zbyt drobiazgowo, umie ogarnąć całość, ten staje się zarazem wyrozumiałym i wytwarza w sobie zdolności do kochania ludzi. Mówię ludzi, nie zaś ludzkości, bo ludzkość to pojęcie oderwane, pojęcia zaś nie stykają się z miłością. Ogrodnik może kochać rośliny, nie roślinność. Miłość musi być konkretną. Dlatego Bóg jest dla miłości osobą, nie pojęciem.

Św. Augustyn mówiąc: „Kochaj Boga i czyn, co chcesz”, mówi to zapewne w tym przypuszczeniu, że czyny zrodzone z miłości będą dobre i że serce kochające Boga musi kochać ludzi. Inaczej byłoby to kochanie jałowe, bezpłodne, z którym Bóg nie miałby co zrobić, zwłaszcza że go nie potrzebuje. Nie można też Boga kochać głową, tylko sercem, a serce, raz wzruszone i rozpląnięte, ogarnia niewątpliwie nie tylko ludzi, ale i całe stworzenie.

Nie mówię tego jako moralista, a tym bardziej jako człowiek, który posiadał tego rodzaju doskonałość. Nie mam do żadnej doskonałości najmniejszej pretensji. Mówię jako przyjaciel niezmiernie Pani oddany i usuwając siebie zupełnie na bok, rozmyślam tylko nad tym, co Panią

tak żywo obchodzi, co w Pani tkwi od dawna, a czasem kole jak cierń. Ten cierń chciałbym wyjąć. Jako przyjaciel też ośmielam się zapytać, czy Pani kogoś lub coś ukochała kiedykolwiek nie przeważnie głową i wyobraźnią, ale wszystkimi siłami serca? Czasem zdaje mi się, że gdyby to nastąpiło, zaczęłaby się w życiu Pani nowa po prostu epoka.

Mało pozostało mi już miejsca na mówienie o sobie. Z rozmaitych powodów odłożę zdaje się na pewien czas Sobieskiego¹³, a wezmę się do napisania krótkiej rzeczy z czasów Ottona, następcy po Neronie¹⁴. Niezmiernie ciekawy to dekadent. Siedzę już w Tacycie, w Swetoniuszu i w Dionie¹⁵. Za miesiąc lub półtora skończę, jeśli przestanie mnie trapić bezsenność i umysł odzyska rzeźwość zwyczajną.

Obawiam się jednak, czy nie wyślą mnie gdzieś za granicę do jakichś wód. W takim razie jechałbym przez Kraków i dałbym znać. Tymczasem kończę ten długi list ucałowaniem dłoni Pani i wyrazami głębokiej i serdecznej przyjaźni.

H. Sienkiewicz

¹ List ten, przez K. Łepkowskiego opatrzony datą „18 VII 1903”, w starannym zaś odpisie w moim posiadaniu, pochodzącym ze zbiorów S. Dembego, błędną datą „8 III 1903”, powstał niewątpliwie w początkach lipca, równocześnie z listem do A. Krehowieckiego z 7 VII, zawierającym te same wiadomości o zawieszeniu pracy nad powieścią *Na polu chwały*, lekturze historyków starożytnych i projekcie „małej rzeczy”, opowiadania o Othonie. Bez znajomości autografu trudno byłoby ustalić datę dzienną, gdyby nie okoliczność, iż odpowiedź Radziejewskiej na ten list ma datę 12 VII, została więc wysłana odwrotnie.

² Aluzja do *Familie Buchholz* (1884), jednej z trzech powieści J. Stinde, odtwarzających filisterskie życie mieszczaństwa niemieckiego.

³ Lukianos z Samosaty — pisarz grecki z II w. n. e., moralista i satyryk.

⁴ Giorgio Vasari (1511—1574) — autor *Żywotów najznakomitszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów* (1550), podstawowego źródła wiadomości o sztuce Odrodzenia we Włoszech.

⁵ Sienkiewicz mówi tu o uwagach swej matki, wywołanych jego przejściem w Szkole Głównej z medycyny na polonistykę. List jej w tej sprawie zob. Krzyżanowski, *op. cit.*, s. 35.

⁶ Wzmianka dotyczy zapewne Stanisława Radziejewskiego (ur. 1863), mało znanego malarza, który wystawiał od roku 1886.

⁷ Edward Raczynski (1847—1924) — właściciel Rogalina pod Poznaniem, twórca tamtejszej słynnej galerii obrazów, przyjaciel i wielbiciel Sienkiewicza, który często w majątku jego gościł.

⁸ Mowa o głośnym zamachu oficerów serbskich, którzy 11 VI 1903 zamordowali króla Aleksandra I Obrenowicia i jego żonę, Dragę Mašin, w ich sypialni. Następcą tronu był Piotr I Karadjordjević.

⁹ Michał Murawjow — generał-gubernator wileński w latach 1863—1865, kat Litwy, zwany „wieszatkiem”; w r. 1878 rząd carski wystawił mu w Wilnie pomnik.

¹⁰ Bayard — wojownik w. XVI i bohater narodowy francuski, sławiony jako „rycerz bez trwogi i skazy”.

¹¹ *Volamina legum* — zbiór dokumentów prawnych z w. XV—XVIII, ogłoszonych drukiem w XVIII w. przez S. Konarskiego; wydanie nowe wyszło w latach 1859—1952.

¹² Cenieni niegdyś malarze francuscy i niemieccy oraz Polak, Teodor Axentowicz (1859—1938) — twórcy pięknych portretów kobiecych.

¹³ Mowa o powieści *Na polu chwały*.

¹⁴ Powieści o Othonie (nie „Ottonie”) Sienkiewicz, cierpiący podówczas na zanik zdolności twórczych, nie napisał.

¹⁵ Tacyt i Swetoniusz Rzymianie, Dio Cassius Grek — historycy starożytni.

Łaskawa Pani.

Otrzymałem Jej list w Krakowie i odpisuję niezwłocznie. Jeśli na pierwszą wiadomość o życzeniu Łaskawej Pani nie uczyniłem mu za-
dość, to jedynie dlatego, że korespondencja, o którą chodzi, znajduje się zamknięta na wsi, dokąd była przeważnie adresowana. Otóż nie mogę załatwić tej sprawy przez osoby trzecie, to jest przez dzierżawcę lub ludzi miejscowych, osobiście zaś tam być nie mogłem z wielu ogólnych i osobistych przyczyn, z których jedną tylko wymieniam. Od zaprzeszłej zimy kręcę się między Szwajcarią a Zakopanem z powodu zdrowia mej córki, której groziła choroba piersiowa. W Warszawie byłem podczas tej zimy przez sześć tygodni, z których cztery przeleżałem na ciężką influencję, co uniemożliwiło mi wyprawę na wieś, potem wyjechałem do Zakopanego, gdzie córka moja była w sanatorium. Lato bieżące przeszło również na staraniach koło jej zdrowia. Obecnie czekam na jej powrót znad morza, który lada dzień nastąpi, a po jej powrocie zmuszony będę prawdopodobnie wyjechać zaraz do Wiednia w sprawie będącej następstwem odpowiedzi mej Björnsonowi¹.

O tym, że w sprawie listów nie mogę użyć niczyjego pośrednictwa, mówiłem p. Ujejskiemu w nadziei, że wzgląd ten usprawiedliwi mnie w oczach Łaskawej Pani. Byłbym też wysłał bezpośrednio wyjaśnienie, gdybym był do tego upoważniony. Chciałem nawet i bez upoważnienia wprost napisać, ale nie wiedziałem, czy list mój znajdzie Panią w Bytomiu. Obecnie zasyłam gorącą prośbę, by Łaskawa Pani raczyła wierzyć, że jakkolwiek te przyjazne Jej listy byłyby dla mnie pamiątką nie mniejszej z pewnością ceny niż moje dla Niej — i że jakkolwiek żądanie zwrotu korespondencji, mającej charakter tak wyłącznie przyjazny, zdziwiło mnie w pierwszej chwili, jednakże nie zatrzymałbym jej i nie zatrzymam wbrew Jej życzeniu. Proszę tylko o cierpliwość i wyrozu-

miałość dla warunków, w jakich się znajduję, i trosk, na szczęście w większej części już zażegnanych, przez jakie przeszedłem. Mogę też zapewnić, że listy znajdują się w dobrym schowaniu i że w żadnym razie, nawet w razie mej śmierci, korespondencja moja wskutek mych wyraźnych życzeń nie będzie nigdy publikowana. Poza tymi jednak przewidywaniami za pierwszą moją bytnością w Oblęgorku będę uważał za swój obowiązek zadość uczynić życzeniu Pani.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i szczerzej zawsze przyjaźni

H. Sienkiewicz

¹ Aluzja do głośnego procesu wiedeńskiego, wytoczonego Sienkiewiczowi jako autorowi listu otwartego do pisarza norweskiego, Bjørnstjerne Bjørnsona, w sprawie awantur studenckich na uniwersytecie we Lwowie. Zob. Krzyżanowski, *op. cit.*, s. 262.

RADZIEJEWSKA DO SIENKIEWICZA

1

[Bytom, 28 czerwca 1903]

Szanowny Panie.

Wiedziałam z pism, dlaczego Pan bawił w Warszawie, zanim list Jego otrzymałam, i z opisu przebiegu zjazdu nabyłam wyobrażenia, w jak podniosłym odbył się nastroju. I nie tylko o uroczystości samej nabyłam pojęcia, lecz i o tym, czym była Szkoła Główna, o której nie wiem doprawdy, czy dotąd co słyszałam. Niby dźwięk tej nazwy nie był mi obcym, a jednak wszystko, czego się dowiedziałam, było mi nowością¹.

Gotowam zazdrościć tym, którzy w młodości mieli taki pokarm duchowy, w takim się zaprawiali myśleniu i takie znakomite mieli wzory do naśladowania. Albo te górne uczucia i porywy, które Pan w swej przemowie wspomniął — jak rzadko są w tak szczęśliwym przejawie udziałem młodości. Po części to nieuchwytnie mary, gorączkowe marzenia, przeplatane apatią i zniechęceniem.

Czy w ogóle może Pan sobie wyobrazić, jak wygląda w duszy człowieka, którego nikt nie uczył rozróżniać dobrego od złego, który naukę

zawdzięczał tylko przypadkom i całą mądrość życiową wysnuć musiał z przejść własnych i osobistych doświadczeń?

Nie sądzę, aby wiedza i pojęcia, zaszczone przez innych, miały chronić od rozterek i przejść we własnej duszy, ale myślę, że gdy człowiek otrzyma z cudzej mądrości podwaliny, to musi być zupełnie inaczej, jak gdy nie otrzyma nic albo gorzej jak nic.

Są tacy, którzy otrzymują jako zadatek na życie tylko naleciałości spaczonych pojęć, przesady i nawyknięcia, które jak chwasty trudno wyplenić. Na progu do świadomości staje się już obciążonym błędami, pomyłkami i różnymi nonsensami i nie wie się co począć z tym balastem. Dla zadowolenia własnego poczucia sprawiedliwości szuka się w sobie winy, bo wiara w sprawiedliwość więcej potrzebna jak dobre mniemanie o sobie. Tą drogą przychodzi się do tysiącznych skrupułów, które z kolei stają się balastem, i człowiek znajduje się jakoby w zaklętym kole wskutek fałszywie założonego życia. Czy Pan uwierzy, że nieraz żałuję, iż nie byłam świadomie złą, i to tak z czystego zamiłowania do jasności. Nie marzę dla świata o doskonałości, ale o takim stanie rzeczy, aby wszystko się przedstawiało takim, jakim jest.

Ogromną mi Pan wyrządził krzywdę przypuszczeniem, że moje gorące przejęcie się toczącą się u nas walką polityczną wynika z uczuć osobistych. Może się to wydawać nieprawdopodobnym, że mię los „Katolika” i jego reprezentantów jako takich mało obchodzi, a w każdym razie umiem te względy odosobnić i widzę tylko zasady. Ta sprawa nie jest tylko dlatego bliższą, że ją lepiej rozumiem i gruntowniej zbadałam, ale te same uczucia przejmowały mnie i tak samo czułam się dotkniętą w mym poczuciu sprawiedliwości i godności ludzkiej, gdy generał Funston na Filipinach podstępem w przebraniu schwycił Aguinalda i za to był sławiony²; i znowu z tego samego źródła płynie mój podziw i uznanie dla morderstwa królestwa serbskiego. Może tylko zbyt tragiczne zakończenie jak na melodramat. Bawi mnie to szlachetne oburzenie cywilizacji dla barbarzyństwa zbrodni, tej cywilizacji, która osłania wdzięczną szatą wiedzy i postępu nędze ludzkości, a łagodząc zewnętrzną szorstkość, nauczyła za to jednym słowem lub milczeniem popełniać niegodziwości. Wiem, że istnieje i dzisiaj prawość, dobroć i szlachetność, ale to jest dla ducha tak naturalnym warunkiem, jak powietrze dla płuc — nie czuje się, gdy jest, tylko gdy go nie ma.

Ogromnie jestem rada Pana zapewnieniu, że moje słowa będą przyjęte z jak najlepszą chęcią i wolą, inaczej bowiem przechodziłabym jeszcze niepokoję przy wysyłaniu każdego listu.

Gdy byłam w domu, słyszałam mniej więcej codziennie od najmłodszych lat, że jestem istotą, która się ani Boga, ani ludzi nie boi. Dzisiaj

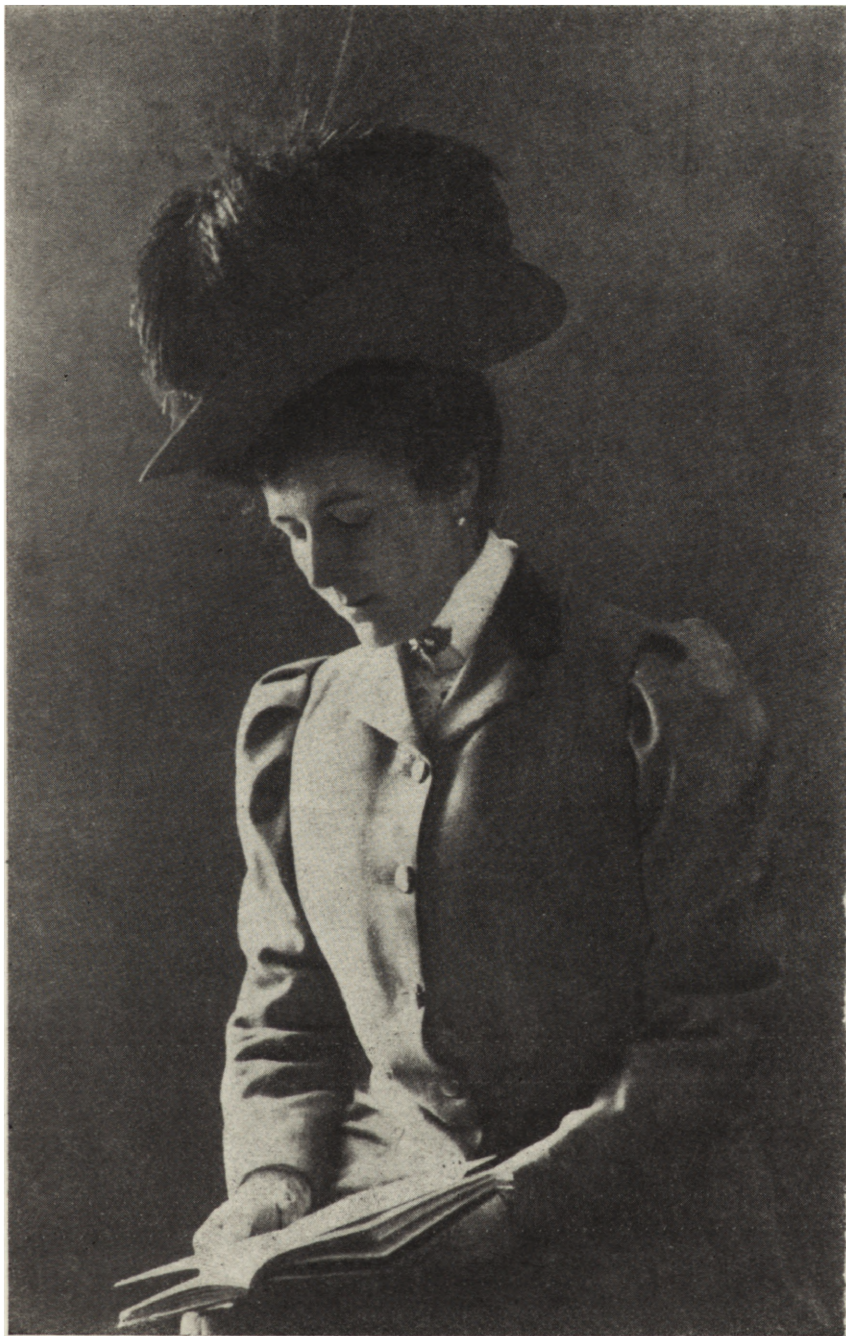
w każdym razie tak nie jest i gdybym nie polegała na Bogu, obawiałabym się nieomal wszystkiego. Jestem w dużej mierze mistyczką i byłam bliska ascetyzmu, gdy napotkałam zdanie św. Augustyna: „Miłuj Boga nade wszystko i czyn, co chcesz”. Tych kilka słów stało się dla mnie jakoby wyzwoleniem, zdawało się mi, że wyszłam z ciemnego, stęchłego sklepu na światło.

I rzeczywiście sędzę, że wystarcza uznawać za najwyższe prawo sprawiedliwość, prawdę, miłość i piękno, aby o resztę być spokojnym. Tak jak od tła w obrazie zależy wartość reszty kolorów, tak od tego tła duchowego zależy wartość osoby, a słowa i czyny dopiero na nim we właściwym oświetleniu występują. Najślabszą moją stroną w tej miłości Boga jest miłość bliźniego. Powiedziano gdzieś, że łatwiej kochać ludzkość jak ludzi, i muszę przyznać, że prawda, ku wielkiej niewygodzie mego sumienia. Mógłby Pan przypuścić, że spotkałam w ostatnim czasie Lutosławskiego³, skoro rezonuję już na szóstej stronie, ale nie, chociaż w przeszłym tygodniu bawiłam w Krakowie. Nie byłam na żadnym wykładzie ani odczycie, ale za to na wystawie dzieł Malczewskiego. Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu zobaczyłam tam Pana secesyjnie malowanego, otoczonego „zmorami”. Symbolistyka, jeżeli udatna, może być artystyczną, ale próby plastycznego, bezpośredniego odtworzenia „nagiej” duszy wrażeń i nastrojów bywają zazwyczaj fatalne.

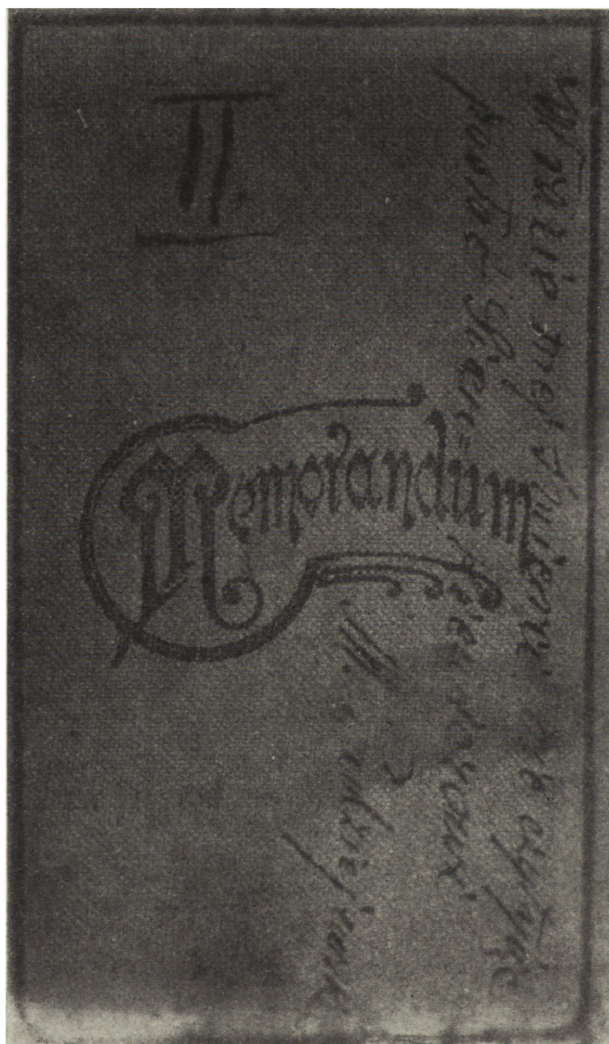
Nie tylko wielcy ludzie, ale i zwykli śmiertelnicy podlegają stanowi wewnętrznemu, który gdyby wyrażony na przykład w liniach, toby w porównaniu nawet rzeźby Biegasa⁴ zdawały się tylko mdłe i słabe, ale to nie racja, żeby piękno sztuki dlatego poświęcać.

W ostateczności już wolę rzeźbę na podobne eksperymenta, bo tam cała potęga w kształcie i ruchu jest skupioną, a w takich rzeźbach, jak Biegasa, widać prawdę, bo można czuć taką odrętwiałość z bólu, taki kamienny spokój, naprężenie lub rozprężenie, jakie on odtwarza — ale wyrażanie wrażeń i nastrojów wewnętrznych na fioletowo, żółto, czerwono i niebiesko nie da się pewnie usprawiedliwić. Może przenoszenie duszy na płótno jest bardzo szczytnym przejawem sztuki, ale co do mnie, jestem przeciwniczką uzmysławiania rzeczy nadzmysłowych z tej prostej przyczyny, że większe w mniejszym zmieścić się nie może; jako symbol, owszem, ale jako istota sama — nie, a na to właśnie, o ile rozumiem, kuszą się moderniści. Już granice zwykłego listu przekraczam, a jeszcze narzuca mi się odpowiedź na Pana uwagę co do tej dziwnej jałowości ducha i umysłu w Księstwie. Nader trafnie to Pan ocenił, jednak pozwolę sobie zaprotestować w tym, co Pan nazywał „ołowiem pruskim”. Nie Niemcy i nie ich system winien, że taka tam panuje poziomość, taka niezdolność do „wyższych lotów”, lecz to, że w bezmiernej wygodzie

i bezduszności korzystamy z pretekstu „wyjątkowych okoliczności”. Nie rozumiem, co by mogło prześladowanie pruskie z naszej wewnętrznej wartości ująć, gdybyśmy w ogóle sobie zdawali sprawę z tego, co wartość człowieka stanowi, i na tym się opierali. Ale my, którzy nawzajem w sobie ducha zabijamy, nie możemy się chyba skarżyć, że nas obcy krzywdzi — bo w porównaniu każda inna krzywda jest małą, a od nieprzyjaciela nawet zrozumialszą. Nie ma wielkich artystów, pisarzy, mówców u nas nie dlatego, aby się nie rodzili tacy, ale dlatego że im nie pozwalamy nimi być. Ja Panu powiem, Niemcy nie prześladowają nas dosyć, abyśmy cierpieli rzetelnie, a dosyć, aby nam dać pozór „biednych ofiar bezwzględności pruskiej”. Gdyby tak bardzo źle było, czy potrzebowalibyśmy powtarzać przez lat dwanaście niezbyt rycerskie rzeczywiście powiedzenie hr. Ballestrema⁵ jako dowód naszej niedoli i dla podtrzymania nienawiści? Czy potrzeba by gazetom głosić o jakiejś zaczepce brutalnego Niemca w wagonie lub na ulicy, a przemilczać o pięciu, którzy się za pokrzywdzonym ujęli? Ja znam rzeczy z tej strony, i to polowanie na dowody prześladowania dawno we mnie wstręt budzi. Znam Polaków, którzy patriotyzm wprost tak jak inni sport uprawiają. Wyznam też, że więcej znam ofiar małodusznych stosunków i ciasnych pojęć jak ofiar prześladowania. Nie dalej szukając, mam brata, którego wielki talent i na wskroś artystyczna natura muszą ulec wobec mniemania środowiska, w którym żyje, a które głosi, że sztuka to nie zawód, że my w naszych „wyjątkowych warunkach” musimy tylko o byt się troszczyć, a sztuka to zbytek. I cóż może jedna osoba przeciw całemu legionowi. A faktycznie ja tylko sama walczyłam w imię jego powołania, czym przecież jest talent. Ponieważ brat mój jest nadzwyczaj religijny, próbowałam i w tym świetle mu ważność powołania przedstawić. Wszystko na próżno, a wiem, że niczym innym nie będzie w żadnym fachu, bo zdolności i zamiłowania tak wybitne nie dadzą się stłumić, czego wreszcie dowodzi w tym, że studiując na uniwersytecie zajmuje się niezmiernie operą, i jak mi pisał w ostatnim liście, nawet później na wakacje przyjedzie, gdyż będzie dawanym cykl, którego nie chce opuścić. Sam gra bardzo ładnie, ale talent jego, o którym warto mówić, leży w malarstwie. Co do mnie — nie posiadam żadnego talentu, a zamiłowanie do malarstwa wynika zapewne z wielkiego zamiłowania w przyrodzie. Moje upodobania wszakże tak są oddalone od rzeczywistych warunków, że staram się o nich nie myśleć i nie mówić, aby tej przepaści nie pogłębiać. Jedyłą zdolnością uratowaną od zmarnowania jest ta, która mi pozwala ocenić przyjaźń Pana i czerpać z niej siłę i osłodę życia. A chociaż zresztą wszystko jest tak smutnym, jak było, to mi się zdaje wszystko wyrównane. Ściskam drogą dłoń Pana,



Maria Radziejewska. Podobizna ze zbiorów Ignacego Mosia



Karta tytułowa pamiętnika Marii Radziejewskiej
Ze zbiorów Ignacego Mosia

a mam nadzieję, że newralgia ramię już zupełnie opuściła i pozwala Panu swobodnie pracować nad *Sobieskim*.

Z uczuciem niezmiennej wdzięczności

Maryja Radziejewska

Bytom, d. 28 czerwca 1903

¹ Zob. list 8, przypis 1.

² E. Aguinaldo — bojownik o wolność Filipin, pierwszy prezydent, a następnie przywódca powstania przeciw okupantom amerykańskim.

³ Wincenty Lutosławski (1863—1954) — filozof, który w początkach w. XX prowadził w Krakowie akcję umoralniania młodzieży.

⁴ Bolesław Biegas (1878—1954) — rzeźbiarz bardzo popularny w początkach w. XX, przed swoim osiedleniem się w Paryżu.

⁵ F. X. Ballestroem (1834—1910) — pochodzący spod Gliwic polityk pruski, znany ze swych antypolskich wystąpień.

2

Bytom, d. 12/7 [1903]

Drogi Panie.

Mogłabym tak bardzo cieszyć się nadzieją zobaczenia Pana, gdyby to nie stało w związku z wyjazdem do wód dla poratowania zdrowia¹. Szczególnie współczuję z Panem z powodu bezsenności, na którą się Pan skarży, bo uważam ją za jedną z najstraszniejszych plag, jakie człowieka trapić mogą. Nie wiem, jakie wody temu złemu są w stanie zaradzić — ja w takich razach stosuję do siebie nader prosty sposób. Chodzę po pokoju aż do zawrotu głowy. W każdym razie jest to dolegliwość pochodząca z chwilowego usposobienia wewnętrznego, więc każda okoliczność przynosząca zmianę, a więc i wyjazd, może sprawić ulgę. Oby się tak stało.

Czy wolno mi uczynić uwagę płynącą z serdecznej troski o Pana? Nie będę czekała na odpowiedź, lecz powiem od razu: Pan się zanadto marnuje i męczy zbyt licznymi obowiązkami, jakie Pan w swej gorliwości obywatelskiej sobie nałożył. Czyż nie dosyć Pan daje społeczeństwu swym talentem? Po cóż cząstkować siły, skoro — jak sądzę — powołanie Jego wymaga ich w całości. A tymczasem chociażby przez te dwa miesiące ostatnie pisał mi Pan o tylu zebraniach, w których brał udział.

W tym miejscu mogłabym przytoczyć ustęp jednego z Pana listów, mający dowiedzieć, że udział jednostki w służbie ideałów jest zawsze tylko

tak niezmiernie mały, że gdyby Pan naszej literaturze nie był dał nic z tego, co dał, nie byłoby to w istocie stanowiło znacznej różnicy. Zapewne, z jednego punktu widzenia wszystko jest małe, ale z innego znów nawet małe — wielkim, więc to by nie rozstrzygało o niczym i nie potrzebuje też, gdy przed kim tak jasno wytknięty zakres pracy, jak przed Panem.

Oto zamieniliśmy na chwilę rolę i nie Pan mnie daje wskazówki, ale ja Panu. Wszystko na podstawie obietnicy, że moje słowa będą dobrze przyjęte.

Szczególna pomyłka zaszła co do obrazu Malczewskiego, który uważałam za Pana portret. Czy to nie charakterystyczne i wątpliwie zaszczytne dla artysty, że malując twarz swego modelu czyni ją podobną do kogoś innego, i to do takiego, który nie jest do modelu podobnym? Zdarzyło mi się rozmawiać wczoraj ze znajomym, który świeżo z Krakowa wrócił i opowiadał między innymi o obrazie Raczyńskiego otoczonego chimerami, więc nietrudno mi było się domyślać, że to ten obraz. Gdybym ja sama była owo podobieństwo odkryła, mogłoby to być złudzeniem, zresztą niezrozumiałym, ale nie byłam samą i inne osoby czyniły równe spostrzeżenie, i tak byli pewni swego, że nawet do katalogu nie zajrzeli. Gdy Pan będzie w Krakowie, trzeba, aby poszedł swego sobowtóra zobaczyć. Naturalnie, nie ma mowy o podobieństwie w ścisłym znaczeniu, ale wygląda to, jak gdyby Pana głowa była użytą za motyw do fantazji artystycznej. Bardzo mnie cieszy, że to nie Pan, pisane wielkim P.

Odłożył Pan pracę nad Sobieskim, a już się cieszyłam, że wkrótce czytać będę, jak wojska polskie ciągną przez Śląsk i obozują pod Bytomiem, bo w Niem[ieckich] Piekarach, gdzie pobożny król składa hołd Matce Boskiej i poleca się jej opiece przed wyprawą. Że tak było, dowiedziałam się z broszurki, którą niedawno poprawiałam.

To miejsce słynące cudami jest oddalonym od Bytomia o pół godziny jazdy, a kilka kroków od Królestwa. Z naszej strony kominy, czarne, olbrzymie rusztowania i nasypy żużli, a przez maleńką rzeczkę, ponad którą można by sobie ręce podać, chatki niskie, pokryte słomą i okolone drzewami. Obejmując jednym spojrzeniem obie strony, wyraźnie się czuje, że granica to nie tylko linia. Tej różnicy nie było, gdy Sobieski przechodził, i ani granicy, ani kominów, a obraz cudowny też ma już nowy przybytek.

Co do powieści, którą Pan pisze, nie odgadłby Pan, jakie mam na nią zamiary. Ni mniej, ni więcej, tylko zamysłam uczyć się czytać na niej. Bo nie tylko nie umiem, ale po prostu nie mogę czytać od jakich sześciu lat. Swego czasu zatrulałam sobie umysł jak najgorszą lekturą, co dopro-

wadziło do niesmaku i przesytu, a zewnętrzne wpływy były tego rodzaju, że już upodobania w czytaniu odzyskać nie mogłam na długo.

Trzeba odwagi, aby się przyznać, że dzieł Pana nie znam prawie wcale, a w każdym razie niczego w całości, lecz tylko z felietonów i tygodników przygodnie. Pochwyciłam niektóre rysy charakterystyczne głównych postaci, i na tym koniec.

Gdy otrzymałam wszystkie dzieła Pana, wyjechałam, a zabrałam tylko jedną książkę z sobą. W ostatnim roku mało miałam czasu, a spoglądając na szereg tomów nie wiedziałam, od czego zacząć. Zacznę więc od najnowszego i będę starała nauczyć się czytać.

Nie zasługuję na to, aby drogi Pan zastanawiał się, z czego wypływa moje cierpienie i jaki to cień tkwi we mnie, więc wolę go zaraz objaśnić. To nic — właściwie tylko życie na opak. Niewiele, a wszystko. Lecz w żaden sposób, gdyby Pan miał mnie rozumieć, nie mógłby „siebie usunąć zupełnie na bok”. Poznanie Pana doprowadziło moją niedolę do szczytu, ale też i dlatego do przesilenia na lepsze, ku zdrowiu duszy.

Na pytanie, które stawia przyjaciel, odpowiadam — że nigdy nie ukochałam nikogo ani niczego głową, ale przeciwnie, głowa w takim razie stanowiła opozycją, lecz przegrała sprawę. Więc rozum, który na karb wyobraźni składał wszystko, czego się serce domagało, jest bardzo zawstydzony. Pana pojęcia o mnie wymagają bardzo często sprostowania, i jeżeli tak dużo piszę o sobie, to tym się tłumaczy. A znowu drogi Pan się myli mniemając, że autoanaliza mnie wprowadziła w to koło błędne, w którym się traci odwagę i ochotę do życia. Zupełnie nie, bo w kole błędnym znalazłam się, zanim myśleć zaczęłam i zastanawiać się, a dopiero z poznania samej siebie, wprawdzie późno, wyniosłam przekonanie, że Bóg złożył w ludziach pewne pierwiastki do lepszego i szczęśliwszego istnienia i że się ich na rzecz niższych względów i praw świata zbyt łatwo wyrzekamy. Przeciw temu odwrotnemu porządkowi podnoszą więc bunt wszystkie władze mej duszy i serca.

Prócz tej odpowiedzi mam jeszcze kilka słów dla Petroniusza, ale odkładam je na później i łączę pełne szacunku a serdeczne pozdrowienia dla drogiego Pana

Maryja Radziejewska

¹ Wstęp nawiązuje do zakończenia listu 10 Sienkiewicza, na który jest odpowiedź.

Na zakończenie wreszcie parę uwag, które nasunęły się podczas korekty, a które należało podać na wstępie. Ogłaszane tu listy Sienkiewicza, poszukiwane daremnie przez lat kilkanaście, udało mi się odnaleźć nie w oryginale, lecz w maszynopisie, sporządzonym przed wojną dla Stefana Dembego. Listy znowuż Radziejewskiej za-

chowały się w kopiariuszu, który ze zbiorów Dembego przeszedł do Biblioteki Narodowej (sygn. I 7538), oraz w rękopisie Biblioteki Jagiellońskiej (sygn. 6998).

Maszynopis, wykonany bardzo starannie, bez żadnych poprawek, przy dokładniejszym wczytaniu się wykazuje parę potknięć, które poza jednym wyjątkiem można było usunąć na podstawie samego kontekstu. Tak więc na s. 216 (w. 26) obecnej publikacji Sienkiewicz mówi o „zachwianiu się naszego rodzinnego majątku”, gdy w maszynopisie czytamy „zachowanie”; nieco niżej w tym samym liście (w. 35) czytać należy: „Rozsądek jest wybornym przewodnikiem na co dzień”, a nie „przeciwnikiem”, jak podaje maszynopis. Wspomniany zaś wyjątek to zdanie na s. 208 (w. 14): „Zdaje się same przez się zbyt wielkie, aby którejkolwiek mogło zależeć na pojedynczej indywidualności”. Jest to ułamek jakiegoś dłuższego zdania, które kopista źle odczytał. O ile moje informacje są poprawne — listy Sienkiewicza do Radziejewskiej ocalały, wolno więc spodziewać się, iż prędzej czy później będzie można do nich dotrzeć i wtedy usterki wydania obecnego usunąć.